

PAUza

Akademicka

ISSN 1689-488X



Rok VII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 290

Kraków, 26 marca 2015



CENTRALNA KOMISJA DO SPRAW STOPNI I TYTUŁÓW

Pałac Kultury i Nauki
00-901 Warszawa

BCK –Org. – 62/15

Warszawa, 6 marca 2015 r.
tel. 22 826-82-38: tel./ fax. 22 656 63 28
e-mail: kancelaria@ck.gov.pl

Redakcja Tygodnika PAU
„PAUza Akademicka”

Szanowna Redakcjo,

z należytą uwagą zapoznałem się z opinią Pana dr. Lecha Trzcinkowskiego, dotyczącą oceny Komunikatu Centralnej Komisji, podejmującego problematykę procedowania wniosków o nadanie stopnia doktora habilitowanego.

Zawarte w nim elementy krytyki dotyczą przede wszystkim prawnych aspektów treści ww. Komunikatu CK. Pragnę jednak wyraźnie stwierdzić, że Komunikat ten traktujemy jako zbiór zaleceń, który ma pomóc zarówno osobom ubiegającym się o stopień doktora habilitowanego, jak i właściwym komisjom habilitacyjnym i w żadnym przypadku nie pełnił funkcji dokumentu prawnie obowiązującego. Powstał on na wyraźne życzenie wielu środowisk, wyrażanych głównie w trakcie spotkań z członkami Centralnej Komisji i dyskusji nad realizacją wprowadzonych wówczas nowych zasad organizacyjnych w znowelizowanej ustawie o stopniach naukowych i tytule naukowym oraz o stopniach i tytule w zakresie sztuki oraz towarzyszących jej rozporządzeń ministra właściwego do spraw nauki i szkolnictwa wyższego.

W moim przekonaniu, jak i również w opinii bardzo wielu osób ze środowiska naukowego – pomimo uchybień zauważonych przez Autora omawianej publikacji – Komunikat ten odegrał pozytywną rolę i pomógł wdrożyć nowe zasady związane procedurą habilitacyjną.

Chciałbym również zapewnić Autora publikacji, że w realizacji Jego następnego kroku na drodze własnej kariery naukowej – tzn. ubiegania się o stopień doktora habilitowanego – nie musi się stosować do zaleceń nie zawartych w obowiązujących w tym zakresie aktów prawnych.

Przewodniczący Komisji

Prof. dr hab. Antoni Tajduś

O kryteriach bibliometrycznych w ewaluacji – głos zza oceanu

W różnych środowiskach naukowych, m.in. na łamach „PAUzy Akademickiej”, toczy się ostatnio dyskusja na temat zasadności stosowania kryteriów bibliometrycznych, takich jak liczba publikacji w czołowych czasopismach w danej dziedzinie, liczba cytowań, h-indeks, itp., przy ewaluacji indywidualnych naukowców lub placówek naukowych. Liczne wypowiedzi, na ogół krytyczne, dotyczą bądź jakości poszczególnych mierników liczbowych, bądź w ogóle sensu stosowania takich kryteriów przy ocenie dorobku naukowego. Ta druga, bardziej radykalna grupa krytyków podaje argument, że tylko wnikliwa merytoryczna ocena dorobku badawczego przez ekspertów, czyli *peer review*, może być podstawą rzetelnej ewaluacji badacza lub placówki naukowej, a żadne wskaźniki liczbowe takiej oceny zastąpić nie mogą. Mój głos polemiczny dotyczy właśnie tej drugiej, bardziej radykalnej opinii i ogranicza się do problemu oceny indywidualnych badaczy. Jest to głos przedstawiciela nauk ścisłych, matematyka i informatyka, który ostatnie 30 lat spędził w kanadyjskim środowisku akademickim. Ta perspektywa z zewnątrz w stosunku do nauki polskiej pozwoli może rzucić nowe światło na dyskutowany problem.

Na początku zaznaczę, że trudno nie zgodzić się z wyżej zacytowanym argumentem krytycznym. W idealnej sytuacji byłoby oczywiście najlepiej dokonywać wszelkich ocen naukowych wyłącznie na podstawie lektury prac ocenianego badacza, dysponując głęboką wiedzą z zakresu tematyki tych prac. Niestety, jak postaram się wykazać, tego typu sytuacje ewaluacyjne nie zawsze są możliwe i wtedy właśnie kryteria bibliometryczne stanowią istotną pomoc.

Jako stary już naukowiec (w Kanadzie powiedzieliby się elegancko *very senior*) miałem wielokrotnie okazję być członkiem różnych gremiów, takich jak komitet European Research Council przyznający granty, czy jego kanadyjski odpowiednik National Science and Engineering Research Council, bądź uniwersyteckich komitetów przyznających promocje profesorskie lub nagrody naukowe. Takie gremia mają wspólną cechę: muszą dokonać oceny porównawczej badacza z różnych dziedzin lub przynajmniej równych poddziedzin, w sytuacji gdy żaden członek gremium nie jest ekspertem we wszystkich dziedzinach czy poddziedzinach reprezentowanych przez kandydatów. Oto komitet informatyczny ERC musi rozstrzygnąć, czy wielomilionowy grant należy przyznać znakomitemu aplikantowi z obliczeń rozproszonych czy świetnemu specjalistce z dziedziny sztucznej inteligencji. Oto ogólnouniwersytecki komitet musi zdecydować, czy doroczną (jedyną na cały uniwersytet) *Prix d'excellence en recherche* (czyli dosłownie nagrodę za znakomitość badawczą) powinien dostać wybitny informatyk czy wybitna psycholożka. Żaden z członków komitetu nie zna się jednocześnie na obliczeniach rozproszonych i na sztucznej inteligencji, a tym bardziej żaden z nich nie jest jednocześnie informatykiem i psychologiem. Oczywiście komitet dysponuje wnikliwymi opiniami tzw. recenzentów zewnętrznych, dokonanymi przez ekspertów w dziedzinie danego kandydata. Ci eksperci nie mają jednak niestety możliwości porównania różnych kandydatów. Taką możliwość mają tylko członkowie komitetu. Co powinni zrobić?

Własne doświadczenie i obserwacja zachowań kolegów pouczają, że członkowie komitetu stosują w takich sytuacjach na ogół zasadę, którą nazwałbym „zaufanie pośrednie”. Otóż próbują np. dowiedzieć się od kolegów z nieznanej sobie dziedziny (najlepiej spoza komitetu), jakie pisma w tej dziedzinie uważa się za czołowe. (Eksperci, jeśli nie są osobiście zainteresowani wynikiem danej decyzji i nie powoduje nimi solidarność dyscyplinarna, są na ogół zaskakująco zgodni przy typowaniu takich pism). Jeśli okaże się, że kandydatka do nagrody, psycholożka ma 6 prac w czołowych pismach z psychologii osobowości, a jej konkurent informatyk ma tylko jedną pracę w liczącym się piśmie i nadrabia ten brak długą listą artykułów w pismach, o których wiem, że są drugorzędne, to (wbrew solidarności dyscyplinarnej) zagłosuję na psycholożkę, rozumując tak: coś musi być w jej pracach (których nie rozumiem), skoro przebiła się z nimi do tych renomowanych pism. Kryteria związane z liczbą cytowań nie bardzo nadają się do porównywania badaczy z różnych dziedzin, bo np. przeciętna liczba cytowań w historii i w biologii jest zupełnie inna. Ponadto w naukach humanistycznych, w których dla celów polemicznych cytuje się czasem artykuły zawierające pomysły nieudane, duża liczba cytowań może być niekiedy, choć pewnie rzadko, wskaźnikiem dwuznacznym. Natomiast wewnątrz tej samej dziedziny, w wypadku nauk ścisłych, gdzie kiepskich prac się raczej nie cytuje (nawet po to, by je skrytykować), tylko się je po prostu ignoruje, takie kryteria mogą być użyteczne. Otóż jeśli oceniam podania o grant dwóch informatyków o podobnym stażu pracy i kandydat A ma 5000 cytowań i h-indeks 35, a kandydat B ma 1500 cytowań i h-indeks 20, to prawdopodobieństwo, że A jest lepszym naukowcem niż B, jest ogromne; nie stuprocentowe, ale ogromne. Wysoki h-indeks kandydata A eliminuje np. anomalie, gdzie mierny badacz „wystukał” połowę swoich cytowań dzięki dwóm bardzo popularnym w dziedzinie artykułom przeglądowym, niemającym wartości innowacyjnej. Musiałbym mieć bardzo poważne przesłanki świadczące na korzyść kandydata B (w informatyce taką przesłanką mogłaby być np. Best Paper Award na poważnej konferencji), żebym pomimo tych różnic w cytowaniach głosował za przyznaniem grantu kandydatowi B, a nie A.

W obu rozważanych przykładach zasadę zaufania pośredniego można wyrazić następująco:

Ponieważ w danej sytuacji decyzyjnej nie jestem w stanie dokonać merytorycznej analizy dorobku kandydatów, używam przy podjęciu decyzji pewnych wskaźników liczbowych, o których wiem, że w podobnych sytuacjach na ogół wiernie oddają różnice poziomów dorobku naukowego.

Tylko tyle i aż tyle.

Reasumując, nie potępiamy w czambuł kryteriów bibliometrycznych przy ocenie dorobku naukowego. Stanowią one nieraz użyteczne narzędzie, o ile są używane obok innych kryteriów i o ile, jak każdego narzędzia, używamy ich ostrożnie i z rozwagą.

ANDRZEJ PELC

Kierownik Katedry Badawczej Obliczeń Rozproszonych
Université du Québec en Outaouais, Canada

Sztuka sekurytyzowana

Bierzemy cielaka, przecinamy go wzdłuż na pół i zanurzamy w pojemniku z formaliną. Następnie podpisujemy nazwiskiem autora i oświadczamy, że jest to dzieło sztuki, które lansujemy na rynku. Pytanie: jak z tej wartości zerowej stworzyć wartość dodatnią, sprzedając połówkę cielaka po parę milionów za sztukę, najlepiej w wielu egzemplarzach? Kto przeznaczy na to odpowiedni fundusz, kto zainwestuje?

Odpowiedź znajdujemy w metodach, które zastosowano w ostatnich latach na rynku finansowym. Wzorem jest sekurytyzacja: polega ona na wtopieniu aktywów wątpliwych w zestawy aktywów wiarygodnych, przemieszaniu wierzytelności nieściągalnych z wypłacalnymi. Potraktujmy więc to dzieło sztuki jak rodzaj kredytu *subprime*, który trzeba związać w pakiet z kredytem zdrowym.

Rzeczoną połówkę cielaka w formalinie – dzieło Damiena Hirsta, jak łatwo się było domyśleć – wystawiamy w towarzystwie dzieł artystów uznanych, które na rynku sztuki mają wysokie notowania, odpowiednik AAA albo co najmniej BBB, w każdym razie wyższe niż notowania kredytów wątpliwych. W operacji biorą udział wtajemniczone w proceder galerie i domy aukcyjne, dzięki czemu rozcieńcza się też ryzyko. Ale wszyscy liczą na duży zysk ze sprzedaży – 20 do 40%, jeśli tylko do sprzedaży dojdzie w ciągu założonego z góry okresu, rzędu sześciu miesięcy. To jeszcze jedna nowość w handlu sztuką, bo rynek sztukitradycyjnie funkcjonował w perspektywie długoterminowej, ujawniającej trwałe wartości.



Damien Hirst
For the Love of God



Jeff Koons
Balonowy Pies (Magenta)

Pozostaje do znalezienia gwarant końcowy, odgrywający dla wykreowanej wartości taką samą rolę jak, na danym rynku, bank centralny, który gwarantuje dzięki swym rezerwom wartość wszelkich emitowanych papierów. Taką rolę w naszym wypadku odegra prestiżowe muzeum. Dlatego przekonamy dyrektora Luwru albo Wersalu do wystawienia naszej połówki cielaka w dobrym miejscu wśród jego kolekcji, oczywiście na koszt galerii, która przy okazji wystąpi jako szczodry sponsor: wystawimy dzieła Jeffa Koonsa w najpiękniejszych pomieszczeniach pałacu wersalskiego, instalacje Jana Fabre'a w Luwrze wśród obrazów wczesnych Flamandów lub przed obrazami Rubensa. Powaga i prestiż tego sąsiedztwa odpowiednio podniesie prestiż naszych eksponatów.

Ten mechanizm dźwigni wartości wymyślono zresztą już parędziesiąt lat temu: stąd biorą się starania współczesnych twórców o wystawianie w miejscach publicznych, najlepiej takich, które są symbolami kulturalnymi, w historycznych zabytkach czy, jako się rzekło, czcigodnych muzeach.



Jan Fabre, *Autoportret w kształcie największej na świecie glisty*
(Photo : Antoine Mongodin, Musée du Louvre © Adagp 2008.)

W takim wypadku „twórca” stara się przede wszystkim by jego instalacja przesłoniła taki obiekt lub zamazała jego sens, a przejęła jego aurę, podkradając na czas przedsięwzięcia jego nazwę i ciężar symboliczny. Podobnie postępują zresztą – zgodzi się ze mną Piotr Kamiński – reżyserzy rozbijający swymi wynalazkami strukturę klasycznej opery czy sztuki teatralnej.

Oczywiście nikt przytomny nie będzie przy tym mówił o wartości estetycznej: naciski położą się na sensację – szalenie przysługują temu protesty środowisk oburzonych tym procederem i natychmiast zaklasyfikowanych, przy walnym udziale prasy, jako ciemnogród.

Wracając do naszego cielęcia: wyznaczenie dla całej operacji krótkiego terminu nie tylko służy napędzeniu konkurujących ze sobą klientów, ale ujawnia jej podobieństwo do tzw. łańcuszka Ponzi'ego: straci tylko ostatni nabywca, ten, który nie zdąży swego pół-cielaka odsprzedać. Bo też jego wartość sprowadzi się do zera kiedy moda przeniesie się na innego „twórcę”.

Porównanie mechanizmu sekurytyzacji z mechanizmami rynku sztuki znalazłem w artykule przeczytanym w kwartalniku „Commentaire”. Jego autorem jest Jean Clair, wybitny historyk sztuki i muzealnik, były dyrektor muzeum Picassa w Paryżu, wnikliwy krytyk, znawca i miłośnik wielu współczesnych artystów od Picassa po Zorana Musica i Balthusa. Pozostając w duchu jego wypowiedzi, dodam, że istnieje jeszcze jedno, na rynku sztuki, groźne podobieństwo do *subprimes*. Kiedy wybuchł kryzys, zgniłe kredyty hipoteczne stanowiły raptem 8 do 10% aktywów amerykańskich banków: taka ich proporcja wystarczała, by rynek stracił zaufanie do wszystkich funduszy kapitałowych. Można się obawiać, że odpowiedników *subprimes* jest na rynku sztuki jeszcze więcej. Nic dziwnego, że tak wielu ludzi gardzi współczesną twórczością artystyczną lub ją całkowicie ignoruje, rezygnując z wysiłku rozpoznania wśród wszystkich propozycji tych, które niosą autentyczne i trwałe wartości. A przecież takich propozycji jest niemało: czekają na odkrycie, cena bywa przystępna, warto ich szukać.

PIOTR BŁOŃSKI

Piotr Błoński jest dziennikarzem, obecnie Attaché Kulturalnym Ambasady RP w Paryżu

Jean Clair, <http://www.academie-francaise.fr/les-immortels/jean-clair>, który jest faktycznym autorem tekstu użytego przez Piotra Błońskiego w zamieszczonym tu felietonie, jest członkiem Akademii Francuskiej, odznaczony Legią Honorową. Jest krytykiem artystycznym, autorem wielu książek, byłym dyrektorem Muzeum Picassa w Paryżu.

Felieton Piotra Błońskiego, zasłyszany przeze mnie w Radio France International po polsku, opublikowany jest w Internecie pod adresem: http://www1.rfi.fr/actupl/articles/120/article_9452.asp. Felieton ten łączy współczesne działania artystyczne i ekonomiczne w jedną całość. Pragnę polecić go tym Czytelnikom, którzy, zwiedzając rozliczne wystawy i muzea prezentujące sztukę współczesną, mają miny zatroskane, wyrażające iż może czegoś tu nie rozumieją. (Adam Korpak)

Redakcja serdecznie dziękuje Panu Piotrowi Błońskiemu za zgodę na publikację tego felietonu w „PAUZIE Akademickiej”. Ilustracje pochodzą z Wikipedii. (AMK)

Szarańcza

Niedawny wywiad z Panią Minister („Gazeta Wyborcza”, 7 lutego 2015) ożywia na nowo niekończący się spór na temat relacji pomiędzy „starymi” i „młodymi”. Wypowiadałem się o tym już wielokrotnie, naturalnie z perspektywy starca, który swoje przeżył. I z pewnym trudem niekiedy przypomina sobie, że kiedyś też był młody. Niemniej kusi, żeby znowu wtrącić trzy grosze.

Warto bowiem zwrócić uwagę, że w dyskusjach o tej sprawie jeden problem jest bardzo skrupulatnie pomijany. Chodzi mi o to, że oba środowiska – tak młodzi, jak i starzy – są niesłuchanie zróżnicowane i dlatego data urodzenia nie może stanowić wystarczającego kryterium oceny. Tymczasem w publicznym dyskursie przyjmuje się milczące założenie, że młodzi są znakomici, a starzy do nich nie dorastają. I że to właśnie jest przyczyną konfliktu. Tak oczywiście bywa i to wcale nierzadko.

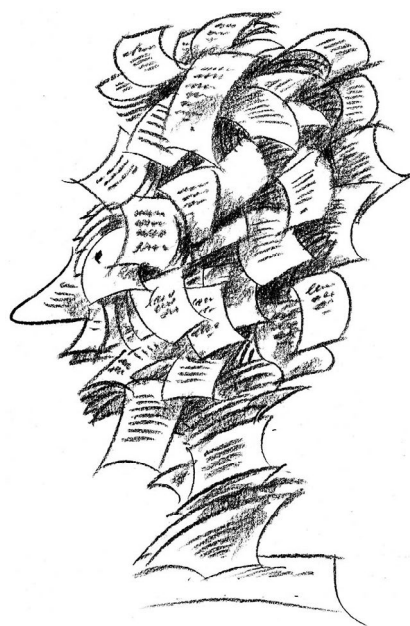
Ale życie aż tak proste nie jest i – często, całkiem często – bywa odwrotnie: konflikt powstaje, bo słaby uczeń wybitnego profesora ma zupełnie naturalne powody do pretensji. Niemal zawsze przecież czuje się niedoceniony, zwłaszcza jeżeli jest pilny i przykłada się do pracy. I trudno mu się dziwić. Dopóki dotyczy to tylko tych dwóch ludzi, sytuacja, choć kłopotliwa dla zainteresowanych, daje się jakoś opanować. Jest zmartwieniem dla profesora, w końcu nikt nie lubi być obiektem niechęci i pretensji. Może być tragedią dla młodego człowieka, gdy jego ambicje i nadzieje przekraczają zdolności. Przynajmniej nie prowadzi jednak do zmarnowania młodego talentu (którego po prostu nie ma).

Zagadnienie zmienia się jednak zasadniczo, gdy rozpatrzeć je w większej skali. Zbyt często bowiem profesor, pod wpływem czynników pozanaukowych, decyduje się przyjąć do pracy ucznia, który nie spełnia kryterium jakości. Np. biorąc pod uwagę, że młody człowiek bardzo się stara (więc trudno mu w oczy powiedzieć, że nie ma talentu i powinien poszukać innego zajęcia), albo ponieważ profesor potrzebuje sprawnego wykonawcy rutynowych czynności, wreszcie z powodów prestiżowych – aby pokazać swoje wpływy. W rezultacie rośnie liczba pracowników, których zdolności lub pasja naukowa pozostają na poziomie raczej miernym. Jeżeli proces ten nie jest odpowiednio kontrolowany i hamowany (a odpowiednich mechanizmów nie widać), kategoria ta zaczyna w końcu dominować. Wtedy następuje dramat, bo uniwersytet opanowany przez miernotę nie potrafi się sam uzdrowić¹.

Stąd dwa, całkowicie niepoprawne politycznie wnioski:

- (i) Uczelnia, która jeszcze nie jest opanowana przez tę gangrenę, winna przede wszystkim jak ognia unikać przyjmowania do pracy słabych pracowników. To niełatwe, wszak żadne hamulce – oprócz poczucia odpowiedzialności – nie istnieją. W dodatku cały system jest dziś nastawiony na promocję młodych, w domyśle – z racji swojego wieku – nowoczesnych, a więc znakomitych. Hasło „stawiamy na młodość” zastąpiło dość skutecznie przebrzmiałe już „stawiamy na najlepszych”. Jest proste i nośne, nie wymaga żadnych subtelnych rozróżnień, wystarczy znać datę urodzenia.
- (ii) Z kolei dla uczelni opanowanej przez miernotę nie ma innej rady, tylko interwencja z zewnątrz. Krótko mówiąc, potrzeba współczesnego Kołłątaja, który podejmie wyzwanie i potrafi uratować to, co jest jeszcze do uratowania. Tak jak jego wielki poprzednik uratował krakowską Alma Mater. Tyle że we współczesnym świecie decyzje nie znajdują się w rękach Kołłątajów, tylko biurokratów. I dlatego ze smutkiem konstatuję, że ta gra jest przegrana. Co zresztą absolutnie nie zmartwi pracujących tam „uczonych”.

ABBA



Rys. Adam Korpak

¹ Jeden owad nie jest groźny, ale szarańcza jest plagą; tak samo jest z głupcami, zauważył już dawno temu Karel Čapek.